

# NOWINY

pismo tygodniowe

z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy franco przysyłać należy:

„Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie  
w drukarni Kornela Pillera.

Reklamacje nieopieczutowane nie opła-  
cają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa  
w Administracji „Gazety Narodowej.“

## Moskal.

Powieść z ostatnich czasów

nie Bolesławity.

(Ciąg dalszy).

Michał był zamkniętym w sobie; nie zwierzał się przed nikim; nawet z Adamem nie mówił o Róży od chwili, gdy po raz pierwszy był w dworku Barskich. Serdeczne słowa przyjaciela rozrzewniły go; uczuł niewymowną potrzebę wylania się, wypowiedzenia przed tym, któryby mu nie odmówił trochę współczucia. Oparł głowę na piersi Adama, i zalał się łzami.

— Biedny, niedobry Michale — mówił Adam, przyciskając go do piersi — dla czego się ukrywasz przedemną z twojem zmartwieniem! czemu w wypowiedzeniu się nie chcesz szukać ulgi?...

Michał westchnął.

— Jestem biedny — rzekł. — W złą na świat przyszedłem godzinę. Cierpię... To i dobrze! Oczyszcze się w tym ogniu — a może i spale... — dodał ciszej.

Adam w milczeniu pocałował go w czoło.

— O! tyś szlachetny — mówił Michał ze łzami — tyś pierwszy uwierzył, że ja moskal, mogę być — człowiekiem. Ale pocios ty mię w świat wprowadził, pocios dał wiarę w lepszą przyszłość?... Bez nadziei, byłbym zginął w sobie; a teraz ciężko rozstawać się z myślą, że mogłem być szczęśliwym...

— Ale zkądże ta rozpacz? Kochasz...

— Ot, jej tylko chciałem — przerwał mu Michał, cały w ogniu. — A ona nie dla mnie! nie kocha mię...

Adamowi z trudnością przyszło pocieszać kolegę.

— Młoda — rzekł — niewinna... Dla czegożby cię jeszcze pokochać nie miała?...

— Bo już kocha... A, ty zdrząłeś... Adamie! O, dla czego człowiekiem, który mi niebo zabiera, jesteś ty, mój zbawca?...

Adam zdrzał powtórnie. Cierpienie wybiło na jego twarz szlachetną.

— Nie krzywdź mię kolego — rzekł, biorąc Michała za rękę. — Ja potrafię kazać zamilknąć sereu, gdyby przemówiło głośniej.

— Nie czyn tego — gorączkowo przerwał mu Michał — to do jej szczęścia potrzebne. — Ja nie chce ofiary! Kochaj ją — niech będzie szczęśliwą. Adamie! Adamie! dla czego po tych słowach umrzeć nie mogę!... Puść mię, puść bracie, bo nazbyt się rozczuliłem. Ot, na chwilę zapragnąłem szczęścia, i Bóg mię za to pokarał...

Jedźmy do dworku. Ty bierz i daj szczęście życia, ja za was wezmę jego truciznę... Gdybyż mię tylko prędko zabić zdołała... Jedźmy!

Adam, ulegając sile cierpienia towarzysza, w milczeniu był posłusznym jego woli.

Biedni serca męczennicy!...

Chociaż widział zniszczonym owoc swych mozolnych zabiegów, Iwan Iwanowicz nie stracił nadziei, że wszystko jeszcze zdoła naprawić. Potrzeba mu było zgubić tych, którzy stali na jego drodze, i piśmowoditel dnie i nocie o tem tylko myślał.

Wietrzył, że się coś robi wkoło niego; prawie pewnym był, że hrabia z synem przyjmują udział w robotach konspiracyjnych, ale dla ich zguby potrzebował dowodów, a tych nie było.

Wychowany w szkole szpiegowstwa, piśmowoditel na to pole rzucił się gorliwie: oko i ucho miał wszędzie, słuchał, patrzył — napróżno.

Uderzyło go to, że kilka przedsiębranych rewizyj, chociaż na dobry ich skutek liczone z pewnością, nie udały się; wszędzie zastawano jakby przygotowanych na przyjęcie komisji. Niezawodnie musiał ktoś zdradzać rządowe tajemnice...

— Miałżeby Misza?...

Krew uderzyła piśmowoditelowi do głowy.

— Jeżeli go złapię na uczynku — zawołał — to będę ich miał wszystkich w rękę; wtedy mnie poznają Spróbujmy.

Próba udała się nadspodziewanie. Iwan Iwanowicz zfałszował rozkaz bezzwłocznego uwięzienia jednego z obywateli, i włożył go pomiędzy sekretne papiery sprawnika. Ostrzeżony przez Michała obywatel znikł z domu.

— Ura! — wykrzyknął piśmowoditel, szczęśliwy, że mu się tak powiodła próba. — Mam was wszystkich! Misza przeczytał bumagę, ostrzegł, i polaczek daremniutko spaceruje gdzieś zdala od żony i dzieci.

— Mam cię, ptaszku! a z tobą i tamtych, bo za sobą wprowadzisz ich w mój samotrzask. Teraz idźmy dalej!

Tym razem szatan dopomógł piśmowoditelowi.

Jak wiadomo, korespondencje zarządów przesyłano pocztą tajemną, urządzoną na rozmaitych drogach. Los chciał, że do przewożenia papierów użyto żyda arendarza z wioski hrabiego, który zdawał się być przywiązany tak do swego chlebodawcy, jak i do sprawy ogólnego wyzwolenia. Wrodzona jednak żydom chciwość pieniędzy przemogła

Przekupiony przez piśmowodiciela arendarz, oddał mu powierzone sobie do przewiezienia rewolucyjne papiery.

Tym sposobem Iwan Iwanowicz został panem tajemnicy, i miał w ręku los osób, na których zgubie tak bardzo mu zależało.

— Teraz mię już nie wyrzucisz za kark, mości oficerze! — tryumfował Iwan Iwanowicz, rozczytując się w pochwyconych papierach. — Raport wojskowy — mruzczał. — No, no! Barski nie próżnuje!... Ten kasek dla hrabiego. Dość, ażeby zgnął w Sybirze... A! jest i Misza. *Biestja!* jak on pięknie poprzepisywał instrukcje gubernatorskie... Mam was! — wszystkich oddam do katorgi! a Róża będzie moja!

Z rozpromienioną twarzą wszedł piśmowodiciel do pokoju sprawnika.

— Makar Fiodorowicz! — rzekł głosem podniesionym — gotujcie order i pieniądze — mam hrabiego.

Sprawnik zerwał się na równe nogi.

— Masz! — wykrzyknął; a wszystka krew uderzyła mu do głowy.

— Mam! i tuzin innych przy nim; a w dodatku i waszego Misze.

— Misza — ledwie wymówił sprawnik, i upadł na krzesło.

— Mówiłem, że was zgubi. Są dowody: wykradał papiery, zdradzał tajemnice buntownikom. Oto jego ręką porobione kopje dokumentów, które przesyłał buntownikom.

Sprawnik zbladł, poznawszy pismo syna, i łzy stanęły mu w oczach.

— Misza syn *mój* — mówił ze łzami, chowając twarz w drżące dłonie — *ty pagubił menia; ty stał miatieźnikiem...* (Tyś mię zgubił, zostałeś buntownikiem). Iwan Iwanowicz — zawołał, zwracając się do piśmowodiciela — ty jego nie zgubisz, ty mnie nie zgubisz?

— To będzie od niego zależec — sucho odrzekł piśmowodiciel. — Niech mi nie przeszkadza, a nic mu się nie stanie. Ja...

Przerwało mu wejście Michała do pokoju.

Na widok syna, sprawnik rzucił się ku niemu; porwał za ręce, i chwilę wpatrywał się w spokojną twarz młodzieńca; wreszcie odtrącił go, i ryknął zalawszy się łzami.

— I ty, ty mogłeś być *miatieźnikiem!* Syn *mój*, krew moja, buntuje się z polakami!

Michał zbladł. Oko jego padło na papiery, które trzymał piśmowodiciel; poznał je, i z krzykiem rzucił się ku drzwiom.

Iwan Iwanowicz zastąpił mu drogę.

— Za pozwoleniem — rzekł — tych ostrzedz nie pozwolę, jak kilka dni temu pana Łaskiego, bo tamtemu włosy z głowy nie spadł, a ci pójda do katorgi.

Okropny obraz zguby wszystkich wstrząsnął duszą Michała, zachwiał się, i padł zemdlony.

Na ratunek syna pospieszył sprawnik.

— Zbójco! — krzyknął do piśmowodiciela — zabiłeś mi jedyne dziecko!

— To *romansy*, Makar Fiodorowicz! Uspokóje się. Ot już i wstaje nieboszczyk.

— Czy to prawda... czy prawda? — jęknął Michał, odzyskując przytomność. — Nie, to sen! sen okropny...

— A na dowód macie tu wszystkie papiery...

— Boże! — wykrzyknął młodzieniec, załamawszy ręce z rozpaczą.

— Misza, *syn mój!* — mówił sprawnik ze łzami. — Ot ja ciebie powinienem przekląć... Ja *skot*, prosto *biestja!* a dla ciebie mam serce... Tobie się nie nie stanie...

— Pod warunkiem — dokończył piśmowodiciel — że mi nie będziecie przeszkadzać u panny Róży.

Imię kochanki przywróciło Michałowi przytomność.

— Mam cię — wykrzyknął, rzuciwszy się na piśmowodiciela. — Zguba za zgubę! Tyś skradł rządowe pieniądze, które zginęły przed rokiem. Świadczy twój współnik...

Teraz na Iwana Iwanowicza przyszła kolej. Zadrzał febrycznie; ale za chwilę odzyskał zimną krew.

— Wspólnik nie żyje — rzekł spokojnie — i wy nie wiecie.

— Wiem i zgubię cię łotrze! — Oto zeznanie urzędowe umierającego, żeś go namówił do kradzieży... Czy wierzysz teraz?

Sprawnik stał osłupiały. Buta piśmowodiciela znikła, zgjął się pokornie i szepnął:

— Misza Makarowicz! nie gubcie duszy niewinnej!...

— Wolność za wolność — wołał Michał — zeznanie za papiery. Zgoda?

Przez głowę piśmowodiciela błyskawicą przemknęła myśl.

Zgoda! — rzekł, oddając trzymane w ręku papiery.

Michał chwycił je drżącą ręką, i cisnął na żarzące się węgle w kominie; gorączkowo śledził oczami płomień pochłaniający papiery, aż gdy sam popiół pozostał.

— Dzięki ci Boże! — wykrzyknął, i cisnąwszy piśmowodicielowi papier, na którym tak mu zależało, wybiegł z pokoju.

Iwan Iwanowicz również poszedł za przykładem Michała: spalił groźne zeznanie, i uśmiechnął się ironicznie.

— Młodość — rzekł — niezastanowienie!... Poleciał! a nie wie, że najważniejszą rzecz mam w ręku, i wszystkich zgubię! Syna wam Makar Fiodorowicz oszczędzę, bo młody jeszcze... — To rzełszy wyszedł z pokoju.

Sprawnik stał osłupiały z podziwienia, nie umiał sobie wytłumaczyć tego co się stało, i uciekł się do lekarstwa wypróbowanej dobroci, do spiritusu. Pił już trzecią szklanekę, gdy Michał w największym galopie dobiegał dworku, wioząc ważne wiadomości.

Na ganku zastał Barskiego i Adama.

— Jesteśmy wyratowani! krzyknął, — rzucając konia na podwórzu. — Przed kwadransem cała poczta była w ręku piśmowodiciela. Papiery własną spaliłem ręką. Uściskajcie mię bracia, bo nigdy nie byłem tak szczęśliwy.

— Najchętniej — rzekł Barski. — Bogu chwała, że się tak stało; ale chodź do pokoju, a dowiesz się czegoś więcej.

W pokoju obaczył Michał Różę i ciotkę, obie zapłakane, a przy świetle dostrzegł, że obaj towarzysze byli ubrani do drogi; broń leżała na stole.

— Co to jest? — zapytał z trwogą.

— Nadszedł rozkaz. Ze świtem powstanie. Za chwilę nadejdą inni, i ruszymy na stanowisko.

— A ja? — zawołał Michał; i rumieniec zapału wybiegł mu na lica.

— Ty, drogi Michale, pozostaniesz tutaj. Na twojem stanowisku więcej zrobisz, aniżeli jako żołnierz; a kobiety potrzebują opieki; będziesz je bronił bracie przed wieloma, przed piśmowoditelem...

Michał smutnie zwiesił głowę ku piersi.

— Sądziłem — rzekł zcicha, — że pożądaną śmierć znajdę w powstaniu; a wy mi życie każecie... Będę żył! — dodał z westchnieniem.

W tej chwili weszło do pokoju kilku zbrojnych. Barski udzielał Michałowi potrzebnych instrukcyj. Adam i Róża znaleźli się sam na sam w sąsiednim pokoju.

— To już na zawsze? — drząc pytało dziewczę kochanka, bezwiednie cisnąc rękę Adama w swoim rękę.

— Bóg to wie — odpowiedział młodzieniec z westchnieniem.

— Nie, nie! tak źle nie będzie... Pan powróci... my pana... ja jeszcze... — i łzy nie pozwoliły jej mówić.

— Ja będę modlić się — mówiła łkając. — Ten krzyż... proszę, weź go... Matka Boska niech cię chroni... Mnie już nie będzie... ja umrę, umrę tu sama...

— Różo! — jęknął Adam. — Czemuś mi nie pozwoliła odejść bez grzechu zdrady przyjaciela?... Kocham cię, i żegnaj na wieki!... Michał szlachetny, on cię kocha... Bądź jego... On ci da szczęście...

— Nie da on szczęścia nikomu — odezwał się głos Michała, który był niemym świadkiem pożegnania kochanków. — Skazano go na wieczne cierpienie — więc mu grzech nie cierpieć. Adamie! bracie mój, tyś zdradą nie zgrzeszył... Idź, ja tu zostanę, i będę jej bronił — dla ciebie...

Taka scena słów nie potrzebuje. Adam w milczeniu pocałował rękę Różę; uściskał Michała, i wybiegł z pokoju. Jęk kochanki, który się wydobył z piersi, poszedł za nim na boje — nie opuścił go w godzinie skonania.

Dmytro również był świadkiem pożegnania... Chwiejącym się krokiem wyszedł do sieni, i rzucił się do nóg Barskiego.

— Paniczu! — jęknął — zabierzcie mię ze sobą! — Śmierć mi się dawno należy, a ja tu mam żyw pozostać...

Barski podniósł go z ziemi, i do serca przycisnął.

— A któż w domu zostanie? Dmytrze! Czy rzuciłbyś pannę samą, bez obrony? Dmytrze! Michale, bracia moi, zostańcie bronić tu sierotę!...

— Idź z Bogiem — rzekł Michał poważnie, a Dmytro w milczeniu pocałował rękę Barskiego.

Gdy ucichły kroki powstańców, Dmytro przystąpił do zadumanego Michała, i biorąc go za rękę:

— Dwom nam jednaka dola — rzekł smutnie.

Michał zrozumiał go.

— Prawda, Dmytrze! — rzekł — i rozeszli się.

Michał powrócił do domu. Nazajutrz doszły go dwie wieści: powstanie wybuchło, hrabia wywieziony do Kijowa.

Teraz dopiero poznał Michał, że nie wszystkich wyratował, zniszczywszy papiery.

Iwan Iwanowicz miał tryumfującą minę. Sprawnik pił spirytus. (C. d. n.)

## SCHERZO.

### I.

Dla Ciebie dziewczę, złoty mój aniele  
W mem sercu chowam cennych skarbów wiele.  
Tam wszystko twoje! Myśl i pieśni twoje,  
Marzenia, uśmiech, łzy i niepokoje.  
Czy biała szczęścia jutrznia ci nie świta?

— Nieznośny!.. nudzisz!.. któż cię o to pyta!..

### II.

Więc kawaler stary, o wiecznym katarze,  
Asystować będę kiedyś czulej parze,  
Dla dzieci karmelków funt mając w kieszeni.  
Tak gdy mój aniołek w babułę się zmieni,  
I serce w ofiarę da świętej Barbarze:  
Na imieniny przyniosę mu w darze  
Pobożnych litanij choć ze dwa tysięcy

— Nieznośny!.. idź już!.. nie kocham cię więcej!..

## Nie pytaj kwiatków.

Nie pytaj kwiatków: „Kocha — czy nie kocha,”  
Kwiatki niedobre — złośliwe,  
Mówiła róża, że miłość twa płocha,  
Astra: że słowa zdradliwe.

Więcej niż kwiaty mówią mi twe oczy,  
Drzenie twej ręki w mej dłoni:  
Więcej ci powie ból, co serce tłoczy,  
Płomień tłumiony w mem łonie.

Hen. M.

## Z HEJNEGO

### podróży po Harcu.

Królem jest ten pasterz młody,  
Tronem mu górka zielona;  
Nad głową słońce pogody  
Jak ciężka, złota korona.

U nóg jego pochlebnie  
Leżą owce, w krzyż znaczone,  
I jagnięta dumolice,  
Niby owiec narzeczone.

Capy — nadworne aktory,  
A krów i ptaków wesele,  
Co flet z dzwonkiem stroi w chóry,  
Tworzy przyboczną kapelę.

Wszystko to dźwięczy i śpiewa,  
Czasem jeszcze w to się muśnie  
Wodospadu szmer i drzewa,  
Kołysany król aż usnie.

Więc rządzić musi tymczasem

Pies minister — państwa czoło,

Którego poszczek z hałasem

Łeć echem naokoło.

Senny król, pół pokryjomu,

Mysli: ciężki trud państwowy!

Ach! ja chciałbym być już w domu,

Przy mojej — mojej królowej!

W jej objęciu miękko spocznie

Moje królewskie jestestwo —

W jej oczach, co jak wyroczenie,

Niezmierne moje królestwo!

B. K.

## OBRAZKI SADECKIE.

Szczęsnego Morawskiego.

### Żyd starostą godowym.

Zabrano dobra klasztoru błogosławionej Kingi, a między innymi wieś o 3 dworach: gniazdo mnogiej ongi szlachty. Dworki te istniały samoistnie i istnieją po dziś dzień; klasztor zakonnice w obec korony dzierżył prawa dziedziczne wsi całej, bez ubliżenia prawom szlacheckim spóldziedziców na onych trzech częściach. — Niemcy odebrawszy zarząd, dworki one przyłączyli do gromady; nikt się nie upomniał więc odnoworecy poszli w chachoły. Przepadło trzy głosy sejmikowe w powiecie starosądeckim!..

Zawsze jednak gromada wiejska po staremu dwory zwie dworami; zawsze dobrowolnie ustępuje im pierwszeństwa; a wedle ustawy urządzając pospólstwo swoje, do wójtowania powołała jednego z panów jednodworskich: pana Franciszka, vulgo Franusia! sążnistego, barczystego o czarnych żrenicach i jeszcze czarniejszej brodzie pełnej, a lat bez mała trzydziestu.

Radzi sobie nawzajem, wójt i gromada! Nie dziwo więc, że kmiotka zamożna uprosiła pana wójta, aby córce jej starostował na godach weselnych, ani też cudno, że młody pan wójt dał się namówić, jak skoro jej mość pani wójtowa nie odmówiła pozwolenia. Wszakżeż tak bywało, bywa i będzie — i być powinno!

Jadą więc w imię Boże! Przodem družbowie konno z toporkiem w rękę, u którego powiewa chustka wzorzysto szyta. Na pierwszym wozie gęźba, a z tyłu jak zwykle, basista dudni państwu młodym zaglądając w oczy. Na drugim wozie pan wójt starostuje nie na żarty! Bokiem siedząc na lewej literce wozowej, silną prawicą dzierzy różeczkę weselną, *alias* wicheń godową, zieloną-rucianą, obetkaną jabłkami czerwonymi, obwieszoną złoconemi orzechy i orzeszki. Dalej jadą druchny i goście weselni, zawodząc śpiew godowy, przyspiewując różecze godowej. Więc pan starosta odśpiewywał: to o wianku rucianym, to łzach miłośnych, to o koniku słębnym... o wodzie w Dunajcu... jeleniu w lesie... i Bóg tam wie o czem jeszcze!

Co żyło ustępowało z drogi i cudowało się nad młodym starostą godowym, co tak siarczyście śpiewał, a w powietrzu unosił różeczkę, i wywijał ją gdyby piórkiem: choć było na niej jabłek samych dużych z pół kopy w zwyż.

Przed karczmą u przewozu stanęli družbowie, zeskokczyli grajki, zatrzymało się wesele; więc i pan starosta zeskokczył, i młoduchę jedną ręką zsadził z woza, i z nią przodem, a wesele za nimi wpadli do izby, i nuż śpiewać aż jękało! i nuż hulać aż dudniało! Na poczekaniu wyobrać połowę kumoszek, aż się już prosiły...

A pod piecem siedzieli górale Podhalanie: babula stara, gazda i kilku młodych. Wytrzeszczyli oczy i patrzyli na Frania starostującego, i nie mogą się napatrzeć. I z za Dunajca ludzie patrzyli i dziwią się — między innymi parobczak pijany.

Wesele pohulało i pojechało swoją drogą; ludzie też podróżni wyszli i idą sobie Podhalanie, a jedzie parobczak ów pijany; śnać zamożny bo odzian strojnie, i na kobyle nie lada — choć oklep!

— Wjcie! wjcie! (widzicie)! — mówi babula — jeh! dyćto przecie prawda co księża gadali, że się teraz wolno będzie żydom żenić z katoliczkami! a dyć to jakiś żyd starostował na weselu!.. kaci nadali czy co?.. A jaki śwarny!.. a broda jaka czarniusienka... a jak szumnie ubrany!.. a jak on to śpiewał beskurcja! Tać mu to chłop żaden nie wydołał!..

— Jeh! cejco bredzita po proźnicy! — przerwał góral suchy z fajeczką w zębach, i splunął zgorszony — nie miał się wam ta kto podobać, jak żyd brodaty!.. I cóż z tego że szumny?... dyć to zawsze żyd żydem i broda broda... Mnieby się ta żydówka nie podobała...

— Mnie ta zaś podobają się żydówki krakowskie — wtracił pijany parobczak — bo to piękne ściwiary! — Kieby tylko prawda, że się wolno żenić z owemi, zarazbym jechał na Kazimierz i żeniłbym się z żydóweczką: byle ładną a bogatą.

— To żeń że się, żeń! i z farmazonką — odparł góral zgorszony, splunął i zboczył wymrukując na lachy pogańskie.

Parobczak zaś naddunajecki zaciął konia i popędził śpiewając, że pojedzie do Krakowa po dziewczynę...

W okolicy między ludem gruchła wieść, że żyd starostował na weselu — bo już wolno żenić się z żydami. Parobczak zaś pił po mieście i wołał, że pojedzie po żydówkę na Kazimierz!

### Koloniści nad Dunajcem.

— A dokądżeżto? z podbitem okiem, i wy z guzem na czole?

— A do sądu! skarżyć na tych chłopów polskich!

— Cóż to, pobili was?..

— Mieliśmy wesele podwójne, dwa rodzeństwa łączyły się. Przygotowaliśmy się przyzwoicie, muzykę dobrą sprowadzono z Nowego-Sącza, zjechali się goście z kolonji drugich, wszystko Niemcy! — i bawiliśmy się po swojemu, spokojnie u siebie! W tem przypada chłopów więcej jak dwudziestu nieproszonych i niewołanych, i nuż odbierać dziewczęta nasze i tańcować z nimi i śpiewać. Z początku nie mówimy nic, tylkośmy ustąpili na bok do drugiej izby, bo my tańczujemy po swojemu i nie umiemy tak jak oni, a gdyby kto z nas zaśpiewał, to się

śmieją!... Więc tańczą godzinę, my czekamy! tańczą drugą godzinę, my czekamy! trzecią: my czekamy! — Aż nam się też w końcu sprzykrzyło czekać. Więc gospodyni domu i drugie kobiety mówią im: żeby sobie już poszli, bo oni się także chcą zabawić i dla siebie sprowadzili muzykę i zapłacili... odwołały dziewczęta, które im się powyrywały z rąk. Więc chłopci radzi nie radzi ustąpili — nie doma jednak, tylko do karczmy; podpiwszy sobie tamże, wrócili do nas, i śpiewając i wykrzykując parli się do izby. Nie chcieliśmy ich puścić, a oni do bitki, popodbijali nam oczy, sińców nabawili. W końcu wyłamali płot biorąc się do kołów, aleśmy podparli drzwi. Więc nam wybili okna naniemcowali, nalutrowali, co chcieli i odeszli...

Tyle zeznania kolonistki. Chłopi zaś owi zagadani, co tam nabroili Niemcom — odrzekli: — Jeh! cobyśmy ta narobili! Bezkręje lutry, sklamrzą a nie mają o co. Najlepsze pola klasztorne pobrali, pastwiska najbujniejsze... i domy im jeszcze pomurowano, kieby szlachcie... a my nic nie mówimy na to. A że my sobie u nich na weselu chcieli trochę potańcować, to nas mają zaraz wyrzucać za drzwi?... przecież my ich ze wsi nie wyrzucoma!... Więc nam to było markotno, napiliśmy trocha na kuraś — ta i wybili dwie szybki w oknie i babie w pysk dali... No! i cóż to wielkiego!... czy się to raz tak trafi?..

### Smutne wesele.

Z Krasnego na czterech wozach pan młody jechał do swej młoduchy, z siostrą, szwagrem, друзbami i sąsiady. Zmierzchem zdążyli na przewóz pod Brzezną gdzie czekał przewoźnik słysząc jak od Letacza przez Wołą spuszcza się coraz głośniejsze granie weselne i śpiew: Da-da-dal dadada!... danaz-moja-dana!

Chcą prosto w bród! — Przewoźnik zastępuje i woła: do łodzi! bo woda nie mała. Parobcy podpici nie pytając, wałą ku Dunajcowi; ale niewiasty choć pijane nie chcą, wołają by stanąć, wsiadają do czółna: parobcy zaś hull! w bystrą rzekę i jada. Pierwszy przejechał! drugiego woda ponosi, lecz brnie!.. ostatni widząc to rzece: — Ej gardo! chyba niejedźwa, bo wóz lekkawy, żeby nas nie porwało.

— Dawaj tu powodzki! kanalski duchu kiej się bois! leż na czółno, ja pojedę w bród!

Parobek oddał powodzki, zlął i skoczył w czółno już odbijające, pełne pijanych, śpiewających na przekorę szumiącemu Dunajcowi. Ruszył wóz trzeci, i brnie śmiało; ruszył w końcu pijany szwagier pana młodego wołając: wioh! wioh! wih! wih!..

Niezadługo przycichł!.. przycichły i śpiewy na czółnie dobijającym do brzegu; bo żona jego zawołała: retyle! on toniel!..

Za chwilę znikł pod wodę... a konie z przednią karrą wychodzą na brzeg. Po pijanemu zmylił bród! jechał poniżej, w padł w tonię; rozerwało wóz, przewróciło zad... i utonął.

A tu noc zapada, nie widać nic!

Baba owdowiła płacze, a družyna zapita tracąc głowy wsadza ją na wóz... i jada do Starego-Sącza pożyczyc latarni!..

Latarnię zapalali, ale jeszcze lepiej podpili sobie na frasunek, i straciwszy nadzieję ruszyli dalej... na wesele!.. Grajki grają, družyna pijana — a wdowa oplakuje nieboszczyka swego.

Tak było całą noc!.. Ani jadła, ani piła, jeno płakała w pośród tańczących-pijanych na radość i frasunek.

Przy oczepinach urlopnik jakiś chcąc weselu nadać rozgłosu więcej, a może zagłuszyć płacz wdowy, dobrał się gdzieś do pistoletu, nabił nabojem ślepym i krzyżąc: «państwo młodzi niech żyją!» wymierzył w górę i palnął — w samo oko basiście, siedzącemu na stole. Osmałony i oparzony chwycił się za oko, upuszczając basy. Krzyk, wrzawa, nie do opisania — i mniejsza o to co dalej!

### Dwaj wójci i sens moralny.

Takie przygody i podobne, dzieją się wszędzie; czemużby i nie w Cyganowicach, na przedmieściu Starego-Sącza i w Barcicach, które tworzą dalszy onegoż ciąg?

W przeciągu roku było tam trzy pożary. Najpierw stodoła zajęła się z boiska, kędy wtaczano czasami wóz z kufami na okowitę; zgorzało kilka domów, resztę ledwo ocalono. — Potem piorun zapalił dom zabezpieczony w krakowskiej «Florjance», z którą powstał spór, czy podsiebitka dachu jest wrębem, podłogą, czy powałą... W końcu chłopcy pod ścianą wzniciwszy ogień piekli ziemniaki i spalili trzy domy...

Strach więc i obawa mieszkańców, wielkie i słuszne.

Aż tu w samym środku ulicy właśnie w domu zkąd wybuchł pożar pierwszy, propinator kameralny zakłada karczmę. Wójt i rada gminna bacząc hulaczki nocne i bieganie z fajkami jarzącymi, zabraniają to, zakazują, a w końcu drzwi od ulicy pieczętują pieczęcią gromadzką. Na to zjeżdża wójt dworski kameralny, odrywa pieczęć gromadzką, i propinatorowi oddaje dóm wynajęty pod karczmę.

Gromada nadarmo się opiera, wskazując karczmy przy gościńcu mniej niebezpieczne dla domów i mieszkańców... Podobno sprawa poszła do becyрку!.. będzie to pierwsza z tej kolei!..

W obec takiej ochoty do hulatyki, wobec wesel i jarmarków bez liku, trudno by kto jechał do lasa.

Są tu wprawdzie rzeki przecudne i spławne, są i potoki górskie, stworzone do spławu. Ale cóż? kiedy wara!

Zarząd dóbr skarbowych, przywykły do polotu górnopolitycznego i do piechoty biórowej, — z dawien dawna udawał — że się boi pływać. A nie ma strachu!.. boć przecie wybrzeża Dunajca i Popradu, flocie dostarczają majtków, jak poświadczą spisy wojskowe. O cóż więc chodzi? czemużto nie korzystać z daru bożego! czemu nie spławiać, skoro wozowo dostarczyć trudno! Czemu się to bawić w kwokę, co wylega kacząta, a broni im pływać po wodzie?..

W lasach gnije buczyna... ludność dwu miast żebrze drzewa opałowego... w miejscu zarząd dóbr skarbowych... o miłą «Dyrekcja dochodów skarbowych» a tu o drzewo,

gdyby o cynamon. — Bo dowozić chlopi nie mają czasu, a splawiac nie wypada!

A pływać wypada?... —

Hola! kończę — bo proces drukowy!...

„Polnische Wirthschaft!.. saubere polnische Wirthschaft!“

Ileż to razy wołaliście tak, panowie gospodarze niemiecy? pozwólcieź i nam zaglądnąć, — jak gazdujecie!

## Fotografie kobiet.

Przez I. L.

### IV.

Spieszmy się uzupełnić portret pani D. niektórymi szczegółami, które mogą interesować nasze czytelniczki. Powiedzieliśmy już, że zajmuje się ona polityką, i celuje w tej mierze nader wytrawnym zdaniem. Gdyby „Nowiny“ zajmowały się nie tylko modami, powieściami i wierszami, ale gdyby były oraz powagą polityczną, jaką do niedawna był pewien inny dziennik beletrystyczny, wychodzący we Lwowie, powiedzielibyśmy nawet i wykazali, jak wielki wpływ znakomita ta matrona wywarła na utworzenie się i na wzrost stronnictwa ściśle opozycyjnego, do którego liczy się jej małżonek. Z jej to delikatnych ust wyszło pewne delikatniejsze *bon mot* o Rzezywole, i o delegacji polskiej w Wiedniu, które później niektórzy dziennikarze z wielkim powodzeniem powtórzyli w swoich pismach. A owa subtelna aluzja o pewnym wydziale i o domu warjatorów, którą zachwyca się publiczność, czytająca pewien dziennik polityczny — jest to także literacka własność bystrego jej umysłu! Dowiedziała się bowiem, że wydział, o którym mowa, przez dłuższy czas płacił znaczną dosyć roczną pensję dwóm jeniuzkom publicystycznym, którzy go za to w piśmie swoim jak najokropniej szkalowali. „Ogolić im głowy i odesłać do czubków!“ zawołała p. D. a dowcipne to spostrzeżenie, nazajutrz ogłoszone zostało drukiem, ku ogólnemu zbudowaniu obojga królestw, Galicji i Lodomerji.

Niemniej trafniemi są poglądy p. D. na literaturę isztukę, na gospodarstwo narodowe i domowe, a pod tym ostatnim względem postępowe teorie nowoczesne doprowadza ona w praktyce do jak największej harmonji z tradycjami rodowemi. Podział pracy w domu państwa D. przeprowadzony jest n. p. we wszystkich swoich konsekwencjach. Każda z czterech pań D. ma osobną pokojówkę; oprócz tego jest w domu panna służąca, panna prasująca, panna haftująca i trzy „garderobiane“ do nawlekania igiel.

Spizarnią zajmuje się klucznica, albowiem pani D. potępia mieszanie się pani domu do masła, sera i słoniny, jako zwyczaj niemiecki i z gruntu nieszlachecki i nienarodowy. Trafna jej uwaga: że krzątanie się około wiktuałów, kuchni i dojniku więcej zbawia sukien niż przynosi pożytku — zasługuje na to, żeby ją podnieść w dzienniku, który zajmuje się modami. Niemniej wyborne jest urządzenie kuchni u niej: oprócz kucharza, kucharki i dwóch dziewczek, nie potrzeba ani jednej żywej duszy, by w przeciągu sześciu godzin przyrządzić obiad — chyba że jeden stróż porąbie drzewo, a drugi przy pomocy osła dostawi wodę. Obiad dostaje się na stół za pośrednictwem lokaja, chłopaka kredensowego i kamerdynera; dość, że nie licząc stajni, sześć osób w domu państwa D. obchodzi się dwudziestu tylko sługami! Przy tak nadzwyczajnem oszczędzaniu liczby rąk do usługi, nie dziwnego, że czasem obiad spóźni się o kilka godzin, albo że pan D. widzi się zniewolonym sam przyszyć sobie guzik do mankieta; nie

ma on jednakowo nic więcej do czynienia, oprócz dozoru nad trzema folwarkami i układów z bankiem k redytowym.

Gdy można mieć pewność, że wszystkie te nieocenione przymioty, które pani D. rozwija w życiu publicznem i prywatnem, będą spuścizną jej córek, więc przy zbliżającym się karnawale polecamy pannę Zenobję, pannę Otylię, pannę Oktawję i pannę Pelagję, uwadze wszystkich kandydatów do stanu małżeńskiego, i zareczamy oraz najsolennie, że za umieszczenie ich fotografii i połączonej z niemi reklamy nie przyjęliśmy ani grosza remuneracji, ale uczyniliśmy to jedynie w interesie żeniącej się młodzieży.

Mamy przed sobą jeszcze dwie fotografie: pani E. i pani F. Pierwsza z nich jest to osoba dość jeszcze młoda, o czarnych bardzo włosach, o twarzy bladej i pełnej wyrazu — ale nie tego wyrazu, którego miłośnicy pięknych twarzy szukają w filuternych oczach i różanych usteczkach, liczących ośmnastą wiosnę w swoim życiu. Takie oczy i usteczka obiecują czasem bardzo wiele: poeci snują z nich wątek do swoich monotonnych powieści, malarze przygotowują im skrzydła anielskie, i rozwiewają resztę kształtów w jakiejś mgłę z blajwajsu i kobaltu, która ma pretensję pobudzić widza do marzeń poetycznych, chociażby był dyrektorem jakiego zakładu kredytowego albo liberantem progów dla kolei żelaznej — słowem: pierwsza młodość, pełna obietnic i uśmiechów, bywa bardzo często przedmiotem apoteozy, poetycznej i artystycznej, póki nie wyjdzie za mąż, jak pani B., póki nie nabędzie nadto dobrej albo nadto złej tuszy i nie zawiedzie tych nadziei raj, upatrywanych niegdyś w blasku jej spojrzenia, i w świeżości hożego jej lica. Fotograf przedstawił nam zupełnie co innego w twarzy pani E. Nie są to uczucia, które jeszcze drzemią i czekają tylko, by je kto obudził, nie są to zachwyty, gotowe dopiero rozpromienić się na widok pięknego kwiatka (albo kapelusza z magazynu Lewickiego. Przypisek zecera), ani strumienie łez, które popłyną dopiero, gdy się serduszko ściśnie z bólu (z powodu, że wieczorek tańczący nie przyjdzie do skutku, i że mama nie chce iść na Wały. Przypisek zecera). W tej twarzy widzimy, że szczęście i smutek już rozjaśniały i zasepiały ją z kolei, że ważniejsze, głębsze, pobudki wzruszały jej serce i duszę, póki na niej nie zapanował ten spokój, który obecnie widzimy. Jest to twarz, która dotrzymała obietnic młodości, ale jakim kosztem serca! Lepszy już stokroć warzywny ogród pani B. w którym nikt nie pielęgnuje kwiatów, ale w którym nie śmie pojawiać się piołun ani pokrzywa — niż owa wędrownica wśród cierni, tu i ówdzie upstrzonych różami, do której można porównać życie pani E.

Za młodu była ona jedną z tych nieszczęśliwych istot, którym los sam daje to, czego w niektórych krajach kobiety zaczynają się domagać od ustawodawstwa, to jest emancypację, a przynajmniej emancypację w sensie uwolnienia od zwykłej alternatywy pójścia za mąż, lub zostania starą panną na respektach u kuzynów. Kobieta, która prowadzi dom na własną rękę, która się utrzymuje ze swej pracy, i nie potrzebuje męża, by dał niejako firmę jej egzystencji, jest już w połowie emancypowaną, choć niestety! doznaje tylko ujemnych stron wolności, nie doznając jej stron korzystnych. Ma niby stanowisko, bo sama musi dbać o swój byt materialny i... i... moralny, i nie ma stanowiska, bo jest bezbronną, bo złość, oszczerstwo, i mnóstwo innych przywar ludzkich zaczepia, ponieważ ją bezkarnie, bo każda enota i niecnota, osłonięta firmą małżeńską, patrzy na nią z ukosa, każdy dom, który przestrzega wszystkich pozorów światowych, niechętnie przyjmuje ją w swe progi. Taki bywa zwykle los kobiet, które muszą wystarczać same sobie, bez męża lub przynajmniej jakiejś takiej starej ciotki lub kuzynki, słowem, bez konwencjonalnej jakiejś firmy, osłaniającej ich stano-

wisko społeczne. Najlepiej jeszcze, jeżeli kobieta w takim razie poświęci się zawodowi nauczycielskiemu; naówczas dom, w którym zostaje, ochrania ją przynajmniej od języków ludzkich, w zamian za tysiąc drobnych upokorzeń i uposłedzeń, w które dla niej obfituje. Ale jeżeli n. p. zamiast nauczycielki, zostanie artystką, jeżeli musi żyć sama, w wielkim mieście, codzień zwracać na siebie oczy starych i młodych gapiów, i języki starych i młodych dewotek lub nie dewotek, jeżeli przytem młode serce zapragnie życia, wzruszeń, miłości, i zamiast z drugim sercem ludzkim, wejdzie tylko w styczność z bukietami i cukierkami pana B., który tak proteguje sztukę, i zaśleży sobie na niechęć pani B. i jej 44 przyjaciółek, o! na ówczas biada tej kobiecie! Świat rzuci na nią anatema nieodwołalne; nawet klasztor, pokuta grzesznej Magdaleny nie zdołają jej rehabilitować. Raczej zdrajca kraju, który bezcześcił naród własny w najplugawszych pismach moskiewskich, zaproszonym będzie na członka patrijotycznego klubu, niż kobieta taka po latach cierpień i pokuty przestąpi próg domu, którego pani nigdy nie zrobiła żadnego, wiadomego przynajmniej — fałszywego kroku.

Otoż taką kobietą była niestety pani E. Piękne, szlachetne, wielkie nawet przymioty serca, obok zdolności umysłowych i powabnej powierzchowności, pozwoliły jej nietylko zostać artystką, której płacą gażę, by nie umarła z głodu, ale artystką pierwszego rzędu, wielbioną, poszukiwaną, otaczaną hołdami. Tylko nieszczęście chciało, że jak zwykle, tak i tu, najwięcej tych hołdów i najbliżej oddawał jej *jockey-club*, który hołduje artystkom, sam nie wiedząc dla czego, z nudów, z mody, z urzędu swego jako *jockey-club* nakoniec.

Była samą — bez matki, bez rodziny, oprócz dyrektora sceny, który zrzędził i lajał, jak wszyscy nowocześni dyrektorowie, i koleżanek, które od rana do wieczora, w domu, na spacerze i za kulisami żyły tylko swojami zazdrościami, gniewami i plotkami. Najprzyjemniej więc przedstawiał jej się jeszcze rodzaj ludzki w kształcie *jockey-clubu*. Dyrektora nie lubiła, koleżankami w duszy gardziła, recenzentów miała za bajbardzo, skrzypiące piórem na nutę, którą gwizdał pan wydawca — a z reszty śmiertelników nie widywała nikogo z bliska, oprócz bardzo wesołego hrabiego Q. i bardzo znnzonego hrabiego O. i bardzo zgrabnego rotmistrza barona N. i nakoniec bardzo rozpustnego księcia E. — Było to gdzieś w Warszawie, w Wilnie czy w Kijowie — proszę więc pamiętać, że jeżeli może podobna historia wydarzyła się kiedy i nad Pełtwią: to nie mam zamiaru robić żadnej aluzji do tego wypadku.

Chciał tedy wypadek, że gdy już hrabia Q. i hrabia O. i rotmistrz baron N. chlubil się bardzo bliską znajomością naszej bohaterki, gdy o tem wiedziało całe miasto i cała prowincja, tem bardziej, że owi panowie chlubil się bardzo głośno swoją znajomością, na ówczas rozpustnikowi wielko-światowemu księciu E. wydarzyła się rzecz, która teraz bardzo rzadko chodzi po ludziach, i której podobność nigdy przedtem nie doświadczał; oto zakochał się na prawdę, i to w naszej artystce. Było to okropne *mauvais genre* z jego strony, uwłaczało to zwyczajom *jockey-clubu*, sprawiło to, że wioząc swego grooma na spacer wyglądał na koźle jak człowiek, który nie jest na swoim miejscu, że przestał biegać za każdą piękną twarzą, zgrywać się w karty, i upijać się jak „szewc.“ (Upić się jest to jedyna rzecz, którą człowiek z wielkiego świata robi tak jak „szewc.“) Hrabina Y. dziwiła się temu wszystkiemu niezmiernie, i podejrzewała baronową Z. że jej bałamuci księcia, podczas gdy ta miała w podejrzeniu pannę X. i jej matkę, że pragną dostać się wraz z szlacheckim swoim herbem pod mitrę książęcą, by wziąć księcia pod szlachecki pantofel — ale długo nikt nie zgadł, co się święci, a nikt nie wierzył, choć hrabia Q. i hrabia O. również jak rotmistrz baron N. opowiadali śmiejąc się całemu światu: „*Figurez-vous, ce cher E. est en train, jak Boga*

koçam, *de mettre en scène une seconde édition d' Adrienne Lecouvreur! Cette pauvre Madame Y. — ona ją struje!*“ Bądź co bądź, książę E. trwał w swoim uczuciu, po roku może udało mu się przekonać naszą bohaterkę, że zdolny jest kochać, że miłość go podnosi i robi, jeżeli nie zupełnym człowiekiem, to przynajmniej księciem-człowiekiem, z księcia-dzokieją. Artystka z początku tylko dumną była trochę z tego zwycięstwa, potem wzruszyła ją stałość jej wielbiciela, poznała w nim mnóstwo dobrych przymiotów, a że miała umysł w gruncie szlachetny i wzniosły, pokochała go nawzajem i wpływem niezaprzeczonej swej wyższości moralnej dokonała w nim reformy, którą rozpoczęła mimowoli. Książę-człowiek został zupełnym człowiekiem, a ku okropnemu zgorzeniu wielkiego, średniego i małego świata, artystka została księżną E. Arystokracja nie przebaczyła jej tego dotychczas, a demokracja jeszcze mniej: pewien bardzo demokratyczny dziennik poświęcił nawet parę uszczypliwych artykułków całemu temu wypadkowi, i gdyby nie wzajemne przywiązanie, gdyby nie oswojenie się z plotkami i niedorzecznościami ludzkimi, państwo E. byłoby może bardzo nieszczęśliwi. Jego świat dla niej zamknięty, a ona nie ma żadnego świata, tylko pół-swiat, od którego odwracać się teraz musi z wstrętem. Nie zakłóca im to jednak bynajmniej szczęścia domowego, wyścierają sobie zupełnie, i tego tylko pragną, by się niemi jak najmniej zajmowano.

## Rozmaitości.

— Warszawski Tygodnik Ilustrowany zamieszcza szereg listów Teofila Lenartowicza z Włoch, a „Bluszcz“ artykuły p. Kremera „O sztuce włoskiej.“ Miejscowym pismom naszym robią zarzut: dla czego nie zawierają jak pisma warszawskie, utworów celniejszych pisarzy. Odpowiedź bardzo łatwa: bo nie mają ich czem wynagradzać; a dla czego tak się dzieje? także odpowiedzieć nie trudno: bo nie liczą jak warszawskie prenumeratorów na tysiące, ale na bardzo skromne setki. — Wszystkich niezadowolonych z pism galicyjskich możemy upewnić solennie, że gdy z nowym rokiem „Nowiny“ liczyć będą przynajmniej parę tysięcy prenumeratorów — natychmiast postaramy się o artykuły sławnych pisarzy których imiona spotykamy w pismach warszawskich, a nawet w „Tygodniku Lwowskim“ — w prospekcie! — Szanowni Czytelnicy niech raczą raz spróbować: kilkotysięczną drużyną przystąpić do prenumeraty, a jeżeli redakcja „Nowin“ nie dotrzyma słowa, które tu w jej imieniu daję — pozwalam w mojej osobie uciąć głowę kronikarzowi — jeżeli tylko na to nie powiedzą organa bezpieczeństwa publicznego!...

— *Revue nationale* zamieszcza powieść Edwarda Laboulaye (autora powieści p. t. Paryż w Ameryce) p. t. *Le Prince-Caniche*. Rzecz napisana w rodzaju *Podróży Guliwera*. Francja występuje tu pod pseudonimem państwa Łapimuchów, które autor ogląda ciekawie, i ilustruje w każdej gałęzi ustaw społecznych i politycznych.

— W Petersburgu wyszedł moskiewski przekład broszury p. Smita p. t. „Głosy i zdania dowódców wojskowych o wojnie polskiej 1831 roku.“ Jest to zbiór bezczelnych fałszów, jak wszystkie w ogóle płody pióra niemiecko-moskiewskiego.

— Dzieło młodego uczonego Niemca p. Hueppe p. t. *Verfassung der Republik Polen*, jak zapewnia jeden z korespondentów, ma się odznaczać tak gruntownym obrobieniem państwowego prawa polskiego, jak żadne z dzieł polskich podobnej treści. Skoro tak jest — życzyć by należało, ażeby skutecznie przetrwał pamiennego dzieła. A czas wielki by nakładowa firma Milikowskiego przeciw raz już dała znak życia. Nie dość zbierać — trzeba się i udzielać społeczeństwu.

— Napoleon III. zrobił doświadczenie na ochotnikach Garibaldeggo, że karabiny Chassepot są rzeczywiście zbawiennym dla ludzkości wynalazkiem: wielu ranią, czyniąc ich do boju niezdolnymi, a mało zabijają. Należałoby teraz zapytać nieboszczyków: czy lepszym jest spoczywać w szpitalach i żyć długie lata w domu inwalidów, czy też spokojnie przemieszkawać w mogile?... a rannych karabinami Chassepot, czy zadowoleni są z łaskawości broni Napoleona III.?

— Do pism bojujących z germanizmem, który nas secinami swych dzienników zalewa, przybywa nowy bojownik: pismo ilustrowane „Strzecha.“

Jako takie pismo, witamy „Strzechę“ sercem całym, życząc jej, by zdołała wyparować z kraju ilustrowane dzienniki obce; a wszystko przemawia za tem, że tak będzie.

Wydawca p. Richter przystąpił do wydawnictwa z kapitałem znacznym, jest więc w stanie pismo swoje uczynić zbiorem rzeczy najlepszych. Jakoż wiemy, że nie szczędzi kosztów, byle odpowiedzieć w zupełności założeniu pisma. Ilustracje najznakomitszych artystów, cięte w drzeworytniach zagranicznych, śmiało rywalizować mogą z najdoskonalszemi ilustracjami pism obcych; a imiona autorów, których pozyskało wydawnictwo, dają rękojmię dobroci pisma.

Treść pierwszego zeszytu „Strzechy“ która opuści prasę w bieżącym miesiącu jest następująca:

Do „Strzechy“ — wiersz W. Pola (z ryciną). — Bezimienna — powieść z końca XVIII. wieku. Bolesławity (z 3 rycinami). — Wizerunki żyjących znakomitości narodowych. Fr. Waligórskiego (z 5 portretami). — Muszka, czyli wzajemne dopełnienie, studjum krytyczne J. Zacharjasiewicza (z 3 rycinami). — Pomnik J. Słowackiego w Paryżu (z ryciną). — Kopja premji do „Strzechy“ (z ryciną). — Kronika. — Zapiski bibliograficzne z r. 1867.

— Firma Siemens i Halski w Berlinie i Petersburgu otrzymała koncesję na prowadzenie linii telegraficznej mającej połączyć Moskwę z Indjami. Kąsek łakomy! bodaj drutem chcą go osiągnąć Moskale, gdy ręce są jeszcze za krótkie... Rzecz ciekawa, co na to powie zbifsz tykowany Albion?..

— **Z życia** (powiastka).

Było ich dwoje! — bo w tej małej liczbie zamyka się świat cały. Światem też byli dla siebie: Felo i Minia. Felo różowy blondynek, Minia błękitnooka szatynka... dwa cudowne kontrasty składające się na doskonałą harmonję, którą niestety! przerwał srogi wyrok nieludzkiego opiekuna. Ten tyran serc młodych wyprawiał Fela do stolicy, dla ukończenia studjów.

Felo w stolicy, a Minia? błękitnooka Minia, samotna, w opuszczeniu!...

— O, nie! przynigdy! Ja się z tobą nie rozstanę, ma droga!

— Ja umrę bez ciebie, mój luby.

— Miniu!

— Felu!

I tak dalej... bo wszyscy wiemy, że się bez gorącego uścisku nie obeszło.

Był uścisk, rzecz wiadoma; nie tak jednak gorący, by miał oparzyć kochanków, szczególnie, że „leż strumienie gasiły płomienie“ jak mówił nieodżałowany autor „Erotek“, o którym zapomniano, chociaż został konceptspraktykantem!

Kochankowie, obraz pary turkawek, splakali się jak bobry; skończyło się jednak na tem, że Felo uległ przemocy, Minia poddała się losowi...

— Odjeżdżasz; ale będziesz często pisywał?

— Codzień! — z zapalem odpowiedział Felo, tuląc drobną rączkę Mini. — Przysięgam! — zakończył uroczyscie, wznosząc oczy w niebo.

Pojechał... Minia płacze, wzdycha i — czeka.

Przez cały tydzień pisał Felo listy codziennie, coraz krótsze... bo przedmiot się wyczerpywał, chociaż miłość była zawsze bez granic i miary. W drugim tygodniu coś mu przeszkodziło, i tylko jeden list napisał; ale jaki! Sam się rozplakał, gdy go odczytał!

Lekcje — tańców, kursa — konne... obowiązki — wizyt... ogromnie czas zabierają... Zaledwie raz na miesiąc Felo mógł znaleźć chwilę pogwarzenia z duszą swęj duszy — Minią, od której jednak — słuszność przyznać każe — piękniejszą jest Helena, Sylwja, Elcia i zachwycająca Lola! O, boski balecie! cudowna Opero włoska!...

Felo nosi angielskie faworyty, szkielek w oku, jest członkiem szlacheckiego kasyna i — nie pisuje do Mini!

Rok, drugi i trzeci.

Stracił rumieńce, ma angielską flegmę, na kursach zdobył szpicer honorowy — jest skończonym!

Znudziła go stolica; potrzebuje odetchnąć świeżem powietrzem.

— A, moja sielanka! — woła ziewając — Kochajca Minia; jak ona musi tęsknić biedaczka... *Vraiment!* jestem trochę tyranem; ale się poprawię, i pocałuję ją w malinowe usteczka, na honor pocałuję! bo ma śliczne usta!...

Za powrotem pierwsze jego pytanie, które zrobił wydawszy rozkazy, by angielskim chartom dano lokal wygodny, było

— Minia? Co się dzieje z Minią?

— Minia — odpowiedział nieco zaambarasowany opiekun. — Czy nie ci nie doniesiono? Od roku wyszła za mąż, i jest już matką!...

— *Diab!es!* — mruknął *gentlemen* po angielsku, zgryzł pigułkę, i nazajutrz wyjechał do wód!

Aniś się opatrzył przemknęło lat 20. Kto miał zdrowe zęby i gęstą czuprynę doczekał się spruchniałych pienków i błyszczącej lysin.

Minio stracił zęby i posażną żonę, — zdobył lysinę i tytuł marszałka. Fortuna nie pogodziła się z „fortunką“ przyszło do skandalu — aż panu marszałkowi wypadło bogato się ożenić, dla poprawienia interesów.

Wdowiec szukał wdowy, przy niej posagu, a przy posagu żony.

Swatów nie zabrakło... Parę listów, dwie depeze... zjechali się w Paryżu dla zawarcia — kontraktu i następnie ślubu.

O osoby mniejsza! Z jednej strony pewność tytułu, z drugiej pełność szkatuły... O nazwisko tem mniej — kontrakt go wyjawi! Zeszli się.... Pan marszałek podobał się pani pułkownikowej, pani pułkownikowa marszałkowi. W Paryżu któż ma lysinę, lub spruchniałe zęby?... więc marszałek ich nie miał! A tylko magazyn mód mógł coś powiedzieć o talji pani pułkownikowej... Zgodzono się na warunki, wzięto do rąk pióra. Uśmiechnięty notariusz prosi o wymienienie nazwisk...

O cuda!

— Minia!

— Felo!

Poznali się...

Lat dwadzieścia... Ha! nigdy zapóźno.

Książd pobłogosławił; a na karnawał młoda para ma zjechać do Lwowa. Zapewne ją tu obaczymy. A więc do widzenia!

(Teatr). Benefisa, służą artyście jako nagroda za je go pracę na scenie, dają oraz sposobność publiczności okazania mu swych względów. Taki stan rzeczy pociąga za sobą moralny obowiązek dla publiczności, by liczniej zesłała się na przedstawienie beneficisowe, dla beneficjanta zaś, ażeby wywdzięczył się za to publiczności wartością przedstawienia, tak co do wyboru sztuk, jak i gry własnej i towarzyszy.

Są benefisa innego rodzaju — t. z. tytułowe — wabiki na publiczność, dające beneficjentowi oklaski, a dyrekcji — pieniądze... To potępiamy stanowczo!

Panna Popielówna jest artystką początkującą — zastęp na naszej scenie nie miała czasu zdobyć... Moglibyśmy zatem mieć pewną wątpliwość co do rzeczywistości jej benefisu... ale rzeczy tej nie chcemy potrącać, i przyjmując fakt jak się nam przedstawia — tylko dla młodości beneficjantki darujemy jej wybór sztuk lichych i źle odegranych, jakby na ukaranie publiczności, która zebrała się dość licznie, i nie szczędząc beneficjantce oklasków, a nawet kwiatów od części swej brzydszej, bo — mężczyzn.

Panna Popielówna ma talent; nie radzimy jej jednak zbyt ufać oklaskom i recenzjom pisanym przed rozpoczęciem widowiska... Który z artystów uwierzy w swoją skończoność — jest niczem; a jeżeli to się zdarzy osobie młodej — zginęła dla sceny! Panna Popielówna jest jeszcze bardzo, bardzo początkującą, jakkolwiek miluchną na scenie, i nie mało lat jeszcze wypadnie jej usilnie pracować na miano artystki. Oby tylko rozwojowi jej pięknego talentu nie stanęło na zawadzie.

**Korespondencja Redakcji.**

Pan A... w miejscu. Kom. „Pseudo-literaci“ drukowaną nie będzie; życzylibyśmy sobie poznać autora — zareczając dochowanie tajemnicy, jeśli mu o nią chodzi.

**Dodatek: tablica krojów i wzorów.**

**TREŚĆ:**

Moskal. (Ciąg dalszy). — Scherzo *Henr. M.* — Nie pytaj kwiatów *Henr. M.* — Z Hejnego podróży po *Harcu.* — Obraski sądeckie, *Szczęsnego Morawskiego.* — Fotografie kobiet *IV.* — *Rozmaitości.* (Z życia). — *Korespondencja Redakcji.*